№ 27. Warszawa, dnia (20 Czerwca) 2 Lipca 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu z szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz z szpaltowy garmontu kop. 50.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Listy od Stasi przychodziły regularnie co tydzień, i on je zawsze odczytywał. Pisywała do matki i do pani Taidy, rzadko do niego. On donosił jej o swych czynach i zamiarach dość często, nie zrażony tem, że odpisywała ledwie co miesiąc. Dla Ozierskiej był pełen troskliwości. Znajdywał czas grać z nią w bezika, czytywać głośno gazety, rozmawiać wieczorem, cieszył się i śmiał z uciechy, gdy około Nowego Roku poczęła potroszę chodzić. Gdy wiosna nadeszła, Ozierska już się ruszała żywo, już się krzątała po domu, wyręczała panią Taidę. Wtedy to, pewnego dnia jakieś przeczucie, podejrzenie przemknęło przez głowę matki.

Wracali we dwoje wieczorem z pola piechotą i ujrzeli zdala Ozierską, jak już bez pomocy laski szła ku nim przez ogród. Kaziowi zabłysnęły oczy radością tak wielką, i tak z serca rzekł:

— Mój Boże, a to będzie Stasi pociecha!

Pani Taida spojrzała na niego uważnie i spytała nagle:

— Wiesz ty! Chyba się ty kochasz w tej Stasi!

Kazio oczy wbił w ziemię i milczał. Potem spojrzał na matkę i szczerze odparł:

— Nie wiem. Nigdym nie analizował mych uczuć dla niej, alem przywykł o niej myśleć, bo się rozumiemy i tyle lat rywalizowaliśmy ze sobą, kto lepiej, kto prędzej. Takeśmy się zżyli, ale to chyba nie kochanie, bo o zespoleniu naszych losów nie marzę ja — tembardziej ona.

— To są także jakieś nowe wymysły! — zamruczała pani Taida. — Dawniej ludzie i ich uczucia były proste i naturalne, a teraz dziwolągi!

— I to prawda! — odparł. — Ludzie się wypaczają i koślawią, bo umysły się rozrastają, duch postępuje, a prawa i zwyczaje stoją na jednem miejscu od wieków. Kalectwa są winą niezdrowych warunków częściej niż natury.

— Czyli, że i ty jesteś zwolennikiem emancypacyi i rewolucyi!

— Mnie osobiście przeciętna, tak zwana dobrze wychowana panna, nie wystarczyłaby jako towarzyszka życia. Wymagam więcej — ścisłego wykształcenia i wytrawnego poważnego umysłu. Ale przecie i to pojmuję, że taka niechętnie przyjęłaby rolę żony w obecnym ustroju społecznym i towarzyskim. Świata nie zmienię, ale też dla niego nie zrobię ofiary ze swych wymagań domowego szczęścia i pierwszej lepszej panny nie poślubię. Lepiej być zupełnie samotnym, niż mieć za towarzyszkę lalkę, kurę lub synogarlicę.

— Dziękuję ci za komplement w imieniu wszystkich kobiet! — oburzyła się pani Taida.

— Przepraszam mamę, ale gdyby ojciec żył, i mama kurą by musiała zostać. Taki jest porządek społeczny i towarzyski. Mus, nieszczęście uczyniło z mamy człowieka, ale ojcieby tego nigdy nie oglądał.

Pani Taida milczała zachmurzona, wreszcie rzuciła gniewnie.

— Ale i to prawda, że tak rezonując i analizując do reszty się powykrzywiacie. Świata nie zmienicie, a sami się zmarnujecie. Jeśli tak myślisz, właśnie się żeń i wykształć sobie towarzyszkę, rozwiń jej umysł, zainteresuj poważnymi, ścisłymi przedmiotami...

— Moja mamo, a któraż zechce, która jest do tego choć trochę przygotowana, której to nie znudzi? Przecie te, które znam, śmieją się ze mnie prawie w oczy i drwią, i nazywają pedantem. Nie mam miru u panien, przekonałem się nieraz, bom brzydki, źle tańczę, nie umiem żartować. Ale za to jakie ma powodzenie Staś Jaczyński, który czego nie przegrał w karty, to przehulał, którego z drugiej klassy wypędzono w lat siedemnaście, ale który doskonale prowadzi tańce! *Dusza* zebrań i zabaw. Kiedyś, na wieczorze u Brzezińskich podsłuchałem niechcący zwierzeń panieńskich. Była i o mnie mowa; taksowały Rudę nie mnie, byłem dobrą partyą, ale Staś to był dopiero ideał tych serduszek!

— Mój drogi, niby mężczyźni nie taksują także przedewszystkiem i jedynie tylko majątku.

— Tak jest, i takim niech się chowają kury i lalki. Warci siebie. Ja zaś majątek, dzięki mamie, posiadam, jeśli dorobię, to tylko własną głową i rękami, i kwestyi pieniężnej do uczuć nie mięszam.

— To są teorye. Żebyś się zakochał..

— Chyba już nie. Za mało mi zostało illuzyj — odparł apatycznie.

Westchnęła pani Taida.

— Jeszcze nie wiesz co to samotność i pustka w domu — zakończyła rozmowę.

Troską to jej było codzienną odtąd, ale już syna więcej nie zagabywała, tylko o Stasi myślała z niechęcią. Ona to widocznie przewróciła w głowie chłopcu, poddała mu te absurda i skrajności dziwaczne. Postanowiła rozmówić się z dziewczyną ostro, bo listownie nie chciała kwestyi dotykać.

Czas biegł, wieści z Genewy zupełnie ustały, wreszcie przyszła depesza, jedno słowo: „victoria!" a potem list gryzmolony gorączkowo, ledwie czytelny.

Patrzała pani Taida na syna, gdy czytał, widziała na twarzy jego zapał i wielkie uradowanie, i zachodziła w głowę, co też to jest za uczucie.

A on list złożył, odetchnął, jakby jej tryumf dzielił i rzekł:

— I postawiła na swojem. Ot człowiek.

— Jeszcze egzamin krajowy! — jęknęła Ozierska—a jakże ona musi wyglądać, to się bez choroby nie obejdzie; mój Boże, widać z listu, że już i pióra nie ma siły prowadzić, i słowa się plączą. A o powrocie ani słowa; co ona sobie myśli? Żeby litość nad sobą miała i chciała wypocząć. Napiszę, ale czy ona mnie usłucha. A może leży chora już.

— Zatelegrafuję w pani imieniu! — rzekł Kazio.

— Dodaj odemnie, że jej tu czekamy! — po sekundzie wahania ozwała się pani Taida.

Wysłał Kazio depeszę, na którą nie było odpowiedzi.

Tymczasem zaludniła się Ruda, bo zjechali Włodziowie, na lato, tak szczęśliwi i z siebie zadowoleni, że aż pani Taida patrząc na nich, zapomniała swej troski o Kazia.

A Kazio prawie gościem był znowu w domu, zajęty wiosenną seryą własnych i cudzych spraw.

Pewnego wieczora wracał z powiatu, gdy na drodze spotkał bryczkę pocztową z tak rozbitym dzwonkiem, że aż spojrzał, ktoby cierpliwy to znosił. Spojrzał i krzyknął: stój, furmana za ramię biorąc. Na bryczce jechała Stasia.

Chłopak zeskoczył i zbliżył się do niej rozpromieniony.

— Nareszcie!—zawołał.—Czemuś nie odpowiedziała na depeszę. Matka twoja schnie z niepokoju.

— Wysłałam list, który zapewne zginął. Żeby nie matka, nie zrywałabym się tak do wypoczynku, ale jej teraz każde życzenie spełnię, więc jestem. No, druhu, dotrzymałam ja—a ty?

— Jakem ci obiecał. Wołem nie zostałem. Opowiem ci wszystko, com zaczął, a ty powiedz?—ciężko było?

— Już nie pamiętam. Mam dyplom „cum laudis.” Krajowy egzamin fraszka! Zdobyłam szklaną górę.

— Odpraw pocztę i jedźmy razem.

— Nie chcę; ty możesz na moją brykę się wgramolić.

— Pod warunkiem, że ten przeklęty dzwonek odrzucę.

— Dzwonek. Nawet nie wiedziałam, że jest. No, jeśliś nerwowy, to każ go zdjąć.

Ruszyli tedy razem, i zaraz Stasia spytała:

— Cóż, namówiłeś sąsiadów do tego ubezpieczenia?

— Ba, ty myślisz, że to tak łatwo. Co jednego przekonam, to trzech odpadnie. No, a ty co myślisz dalej robić? Osiąść w Warszawie?

— Jeszczem się nie zdecydowała. Zagranicę mnie ciągnie; Schonemann namawia, bym wróciła do jego kliniki chorób kobiecych. Namyślę się, jak trochę odetchnę.

— Fijolski dogorywa. Żebyś nie chciała sławy, tutaj miałabyś chleb i zasługę.

— Winszuję, zęby rwać, pijawki stawiać, rany operować, gorączki leczyć i w rutynie się zagrzebać.

— Ba, to zależy od punktu widzenia. Bo jakeś mi kiedyś cytowała: niema marnych stanowisk, są tylko marni ludzie...

— Daj mi z tem spokój w tej chwili. Nie mam głowy do filozofowania, muszę czas jakiś tylko spać, jeść i próżnować. Nawet do dysputy nie mam myśli.

— Ale pójdziesz na kaczki? — spytał wesoło.

— Może, jeśli matki to nie zgorszy!

— Zamienili cię w Genewie?

— No, nie, ale matce nie zapomnę ofiary, którą uczyniła.

— A nam?—żartował dalej.

— Wam także!—odparła poważnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dr. E. Tardieu.

Psychologia chorego.

SPRAWOZDANIE.

(Dokończenie).

A są tu motywy całkiem wyjątkowe w takim niepojętym prawdziwie uporze utrzymania się przy życiu—motywy które wielkiego zaszczytu naturze ludzkiej nie przynoszą wcale. Do takich należą: nienawiści tak silnie wkorzenione w duszę, że są aż w stanie utrzymywać owładniętego przez nie przy chęci przedłużenia sobie życia—i poziome, nizka żądza nieustąpienia drugim zajmowanego miejsca. To się nazywa chcieć widzieć słońce jeden dzień dłużej — to się nazywa nie módz pogodzić z myślą zstąpienia do grobu.

Choremu trzeba wszystko wybaczyć, bo on doświadczył wszystkiego i wszystko przecierpiał. On w końcu zrozumiał, że tak długa choroba musi nareszcie jego otaczających zniechęcić i zniecierpliwić, dlatego też on tak samo nie uwierzy już dzisiaj prawdzie jak kłamstwu; on wie, że nie należy ufać nikomu i niczemu. Ale bo też i ci lekarze! Przypatrzmy się tylko co oni robili z tym człowiekiem, od samego początku jak zapadł. Ta ich pewność, to uspokajanie, to poręczanie, że wszystko będzie jak najlepiej! Gdzie to wszystko dzisiaj się podziało? Tłum ich cały przedefilował przez ten pokój; przychodzili pojedynczo i po kilku razem, radzili i znowu zapewniali, przepisywali środki—nowe środki zupełnie. Tamte przecież poprzednie, zdaniem ich, tylko pogarszały stan, który zresztą, wyraźnie zdesperowanym nie jest wcale. I po tygodniu każdy z nich pozostawał jeszcze przy zapewnieniach swoich, ale chory, który wie więcej niż okazuje, ten chory odgaduje, że oni poznają już dzisiaj swoją pomyłkę. Tamta pierwsza, druga i trzecia grupa myliła się, ale ci ostatni mędrsi nie są wcale. Jednem słowem chory przekonywa się, że cała nauka jest bezsilna, a mówi mu o tem i osłupiałość blizkich, którzy wraz z nim początkowo dali się unieść nadziei, jeśli ci blizcy notabene wytrwali w uczuciach dla niego, mówi i ubytek sił każdodzienny, i ten domysł nasz wewnętrzny nakoniec, który sam jeden niezawodzi nigdy, byleśmy go dobrowolnie nie wyprowadzali na bezdroża niedorzecznym optymizmem naszym.

Takie są etapy ostatnie ducha ludzkiego przy odejściu z tej ziemi. Dr. Tardieu traktując ten stan psychiczny ze stanowiska zupełnie materyalistycznego, wynajduje pewne swojego rodzaju pociechy dla tych, którzy z żadnej już pociechy faktycznej korzystać nie mogą. Powiada on, że umniejszanie się stopniowe istnienia naszego prowadzi za sobą równomierne umniejszanie się wszystkich pragnień—że innemi słowy, o tyle mniej pożądamy, o ile mniej zdolnymi jesteśmy pożądać. Starość i choroba najpierw odejmują wartość uciechom życia w naszych własnych oczach, a więc wprzód stają się nam te uciechy obojętnemi, zanim utracimy możność kosztowania ich. I tak schodzi człowiek coraz niżej w miarę zbliżania się do śmierci, a wreszcie staje on na takim punkcie, w którym niemożność życia, przy zupełnej świadomości, musi zrodzić niemożność pragnienia tego życia.

Oto w treści zapatrywania psychologa materyalisty na stan duszy umierającego. Obserwacya bogata, ale stopień poszanowania dla natury ludzkiej i jej ocena wcale nieszczególne. Można nie być zwolennikiem złudzeń wogóle, ale nie idzie jeszcze zatem, żeby znajdować użytecznem, dobrem i mądrem z jakiegokolwiekbądź względu, a przedewszystkiem sprawiedliwem, dobrowolne rozdrapywanie ran własnych, upośledzenie własnych przeznaczeń w społeczeństwie i w stworzeniu, żeby nie chcieć uwierzyć w przeczucia wielkie duszy ludzkiej, w dążności szlachetne wciągu życia, i w ideały, które towarzyszą przecież człowiekowi aż do ostatniego tchnienia i przeżywają jego samego. Więc taki psycholog, taki obserwator, wcale niema do zanotowania faktów zaczerpniętych ze stosunków ludzkich, rodzinnych i społecznych, w których żal za odchodzącym z tego świata niedopuszcza wcale nędzy, ujawniającej się w poziomych wyrachowaniach rozchwytywaniu spuścizny i zajęciu miejsca po tym, który już nażył się dosyć, i któremu wszyscy otaczający życzą jednozgodnie, aby ich jaknajrychlej uwolnił od siebie. To nie jest człowiek, którego nam maluje dr. Tardieu, i niegodziłoby się nawet nazwać społecznością zbiorowiska jednostek podobnych.

A idee przekazywane potomstwu, a godzenie się rozumne z przeznaczeniem, a rezygnacya, a śmierć mędrców, matek chrześcijańskich, śmierć jednostek prostych umysłem a silnych wiarą — śmierć całych mass ludzkich pogodna przy samowiedzy całkowitej? To niby zapewne mają być strony egzaltacyi ducha, których regestrować nie warto, boć takiego przemilczenia o nich zupełnego, inaczej ze strony p. Tardieu rozumieć niepodobna.

Doprawdy nie wiele pociechy życiowej wynieść można z takiej obserwacyi. Kto nie umie albo nie chce dopatrzeć w tej wielkiej przemianie, którą nazywamy śmiercią, nic prócz rozkładu materyi—nic prócz instynktownej pracy w ciągu życia, a u jego schyłku nic prócz żalu za zwierzęcem użyciem, ten nie powinien chyba badań swoich nazywać psychologicznemi. To są notatki przedśmiertnych odruchów człowieka-zwierzęcia; o pierwiastku duchowym jego ustroju niema tam, właściwie mówiąc ani jednego słowa. *K.*

Kalejdoskop muzyczny.

O Chopinie. — Stowarzyszenie imienia Dawida. — Schumann jako feljetonista. — Książka jego „O muzyce i muzykach.

„Euzebiusz wszedł do nas cicho. Znasz ironiczny uśmiech na bladej jego twarzy, wyrażający napięcie myśli. Siedzieliśmy wraz z Florestanem przy fortepianie. Florestan, jak wiesz, należy do rzędu ludzi niezwykłych, przeczuwających wszystko nowe, odrębne, przyszłe; dziś wszakże miała go spotkać niespodzianka. Ze słowami: „czołem, panowie, oto geniusz!” położył Euzebiusz przed nami jakiś utwór muzyczny, zabraniając spojrzeć na tytuł. Bezmyślnie zacząłem przerzucać zeszyt; podobne napawanie się muzyką bez dźwięków ma w sobie coś czarującego. Wydało mi się, jakgdyby tysiące obcych oczów spojrzało naraz na mnie tak cudnie!. Były to jakby oczy kwiatów, bazyliszków, pawi i dziewcząt. W niektórych taktach coś przebłyskiwało; nad powodzią stu akordów przewinęła się niby nić Mozartowskiego „Là ci darem la mano,” mrugnęła dalej postać Leporella, zamajaczył biały płaszcz Don Juana.

— Zagraj to!—rzekł Florestan.

Euzebiusz spełnił życzenie; wciśnięci w niszę okna, słuchaliśmy go. Grał jak natchniony, wyprowadzając przed nami niezliczoną ilość postaci z najprawdziwszego życia; zdawało się, iż poryw chwilowy dał palcom jego siłę, przechodzącą granicę możności.

Pełne uznanie Florestana poza błogim uśmiechem wyraziło się w zapewnieniu, że odtworzone waryacye można byłoby przypisać jedynie chyba Beethowenowi lub Schubertowi, gdyby ci należeli do rzędu fortepianowych wirtuozów, kiedy wszakże, spojrzawszy na tytułową kartę, przeczytał nic więcej, jak tylko: „Là ci darem la mano,” waryacye na fortepian z towarzyszeniem orkiestry przez Fryd. Szopena opus 2; zawołaliśmy obadwa pełni podziwu: „jakto opus drugi!”

Niezwykłe zdumienie rozogniło nam twarze; z ust wyrwały się okrzyki:

— Ot, masz tobie, znowu coś mądrego!.. Szopen—jak żyję niesłyszałem podobnego nazwiska... w każdym razie—geniusz... czyż nie dźwięczy w tej muzyce wyraźnie śmiech Zerliny i Loporella?..

Ponieważ trudno było rozróżnić cośkolwiek w chaosie luźnych tych uwag, powstała scena, na której opis silić się nie będę.

Podnieceni winem, Szopenem i bądź przerywaną, bądź podejmowaną na nowo gawędą, poszliśmy do mistrza Raro, który śmiejąc się z nas, nie okazał zbytniego zaciekawienia do opusu 2.

— Znam was wraz z nowomodnemi waszymi zachwytami—zauważył.—No, ale z tem wszystkiem sprowadźcie mi tu tego waszego Szopena...

Przyrzekliśmy uczynić to nazajutrz. Euzebiusz pożegnał się wkrótce, ja zaś chwilkę jeszcze pozostałem u mistrza Raro. Florestan nie mając od pewnego czasu własnego mieszkania, pobiegł do mnie wzdłuż zalanych blaskiem księżycowym gościńców. O północy zastałem go u siebie, leżącego na sofie z przymkniętemi oczami.

— Waryacye Szopena — mówił jak przez sen — majaczą mi wciąż jeszcze po myśli... geniusz przebija w każdym takcie... ta trzecia, tyle w niej światła księżycowego!.. tyle czarodziejskiego uroku!. A koniec sam: czy masz jeszcze wino, Juliuszu?.. Brzęk flaszek huk lecących w powietrze korków szampana, oto cały, prawdziwie Mozartowski finał; głos Loporella tu i owdzie, a potem czające się duchy, i uchodzący Don Juan; wreszcie pełne spokoju, rzeczywiste już zakończenie!

Wrażenia podobnego, jak przy owem zakończeniu, doznał Florestan, według własnych swoich zeznań, w Szwajcaryi jedynie. Gdy w piękne dnie słońce wieczorne pnie się tam coraz wyżej a wyżej, po niebotycznych wierzchołkach gór i niknie wreszcie za nim ostatnim swym promieniem, wówczas nadchodzi chwila, w której zdaje się, iż olbrzymy alpejskie przymykają oczy, całe czucie nasze zaś daje nam świadomość minionego niebiańskiego zjawiska.

— No, ale rozbudź się i ty do nowych snów, Juliuszu! Zaśnij!..

— Najmilszy Florestanie — odpowiedziałem—osobiste twe uczucia zasługują niewątpliwie na pochwałę, jakkolwiek można im zarzucić zbytni subjektywizm; mimo, iż Szopen nie podsłuchuje w twórczych porywach geniuszu swego programowych zamiarów, chylę czoło przed nim, chylę czoło przed taką dążnością, takiem mistrzowstwem.

Po tych słowach zasnęliśmy.

* * *

Śpią do dziś dnia. Nie budźmy ich. Spełnili swoje; rzucili na wschodzący promyk twórczej chwały rodaka naszego pierwszy kwiat uwielbienia. Cześć im za to!

Czem byli jednak?.. Zkąd doszły do nas gorące ich słowa?..

W roku 1831 ukazał się w „Algemeine Musik-Zeitung,” wychodzącej pod redakcyą Finka w Berlinie, artykuł zatytułowany „Caeciliana,” podpisany imieniem „Juliusz,” a oddający hołd drugiemu zaledwie z rzędu utworowi „bladego“ mistrza północy, którego prace Sanhedryn krytyki ówczesnej uznał za godne... najwyżej podarcia na strzępy.

Florestan, Euzebiusz, Raro... oto osobistości, z któremi spotykamy się tu po raz pierwszy, a które przez szereg czternastu lat blizko później, miały intrygować cały czytający ogół tajemniczością „związku Dawida” (Davidsbündler—nazwa przyjęta na cześć starożytnego bohatera-śpiewaka), do którego jakoby należały.

Florestan — ognisty, żywy, namiętny zarówno w miłości, jak i w nienawiści; Euzebiusz — słodki, łagodny, miękki, nie chcący obrazić nikogo, unikający słów prawdy, któremi hojnie sypie na prawo i lewo jego przyjaciel. Przejście od jednego do drugiego stanowi chłodny, rozważny mistrz Raro, nie dający się unieść ani zbytnim zachwytom, ani też nieusprawiedliwionej surowości sądu. Trójka ta, do której przyłącza się mało znacząca osobistość Juliusza (pseudonim samego autora) narobiła w swoim czasie niemało hałasu, trzymając z nieustraszoną odwagą sztandar postępu w ręku, walcząc dokoła ze wstecznictwem i sprzedajnością sądów.

Florestan i Euzebiusz, przemawiając do publiki bądź wprost, w artykułach, listach, aforyzmach i uwagach, imionami swemi podpisanych, bądź za pośrednictwem dorywczego rzecznika Juliusza, bądź też w feljetonac literami R. S. oznaczanych, zapewniają przy każdej sposobności, iż Davidsbündlerów jesh więcej, i że należą do rzędu ich wszyscy ci, którzy dla rzeczy nowych mają słowo zachęty, nie zaś potępienia.

Łamano sobie głowy, gdzie może tkwić ów związek—kto go stworzył—kto stanowi duszę jego?.

Zagadka długi czas okazywała się nierozwiązalną, aż wreszcie w miarę stopniowego znikania ze szpalt pism namiętnych okrzyków Florestana i marzycielskich uwag Euzebiusza, przestano myśleć o nich.

W rzeczywistości tajemniczy związek był niczem innem, jak tylko zręczną mistyfikacyą dzielnego feljetonisty, kształcącego się na wzorach Jean Paula, Heinego, Börnego, feljetonisty, którego styl, pełen skrzących paradoksów i romantycznego rozmarzenia, pełen symboli i alegoryj, tem większe budził zdumienie, iż stanowił właściwość nie zawodowego literata, lecz .. muzyka.

W wyobraźni Schumana jedynie powstało i trwało owo mgliste stowarzyszenie imienia Dawida, snujące się niby nić czerwona, wśród sprawozdań, krytyk, aforyzmów, listów muzycznych, pisanych ręką genialnego twórcy symfonii, sonat, nowelet. On to był autorem artykułów, przypisywanych przez czytający ogół członkom domniemanego związku.

Do jakiego stopnia bawiło wielkiego muzyka, znającego aż nadto urok tajemniczości, ciągłe wprowadzanie w błąd publiki, możemy wnosić z różnych sposobów i środków, jakimi w ciągu lat kilkunastu usiłował nadać fikcyi wszelkie możliwe pozory rzeczywistości.

I tak np w prospekcie gazety „Neue Zeitschrift für Musik,” wydawanej przez niego w Lipsku od roku 1834 do 1844, spotykamy naraz wszystkich bez wyjątku Davidsbündlerów, wymienionych jako współpracowników tego pisma, mającego za zadanie szerzyć kult istotnego piękna i zwalczać wszelkie osobiste uprzedzenia w panujących podówczas poglądach estetetycznych.

W odpowiedziach od redakcyi uderzały niekiedy słowa zwrócone do zamieszkałych jakoby w różnych częściach kraju członków stowarzyszenia, oznaczanych zwykle czterema literami *Dblr.*

Bywały zdarzenia, iż Davidsbündlerzy jawnie za pomocą drukowanej odezwy wyrażają szczery żal, iż jeszcze nienadeszła chwila, w którejby mogli odsłonić powody ciągłego ukrywania się pod przybleanymi pseudonimów i proszą „pana Schumanna,” aby nadal zechciał osłaniać ich nazwiskiem swojem, co też życzliwy redaktor jaknajgorliwiej uskutecznia.

Te i tym podobne zakulisowe figle autora barwnych feljetonów, który nie omieszkał poświęcić mistycznemu bractwu jednej z cennych fortepianowych swych kompozycyi, zatytułowanej jego godłem (Davidsbündler),

znali tylko najbliżsi, ogół zaś wierzył święcie w istotną tajemniczość związku.

Długi czas Schuman nosił się z myślą urzeczywistnienia go naprawdę i stworzenia czegoś w rodzaju towarzystwa muzycznych wolnomularzy, zamiar ten wszakże nie doszedł do skutku nigdy. Być może stanęły temu na przeszkodzie okoliczności czysto zewnętrzne, prawdopodobnie jednak przeciął plany wzmagający się pod koniec życia mistrza z dniem każdym umysłowy rozstrój, który w sposób tak tragiczny stłumił bujną twórczość w pełni jej rozwoju.

Nie wiemy, co podziwiać bardziej w Schumannie: talent kompozytora, czy też autora?..

Pierwszy, niesforny, kapryśny, chwilami romantyczny i rozmarzony, chwilami zaś zły, szorstki, nerwowy, gromiący świat i życie burzą dysonansów, chaosem tępych akordów, jakby na złość wszelkim prawom teoryi i kontrapunktu rzucanym, wznosi nas, mimo to, niekiedy w krainę tak czystej poezyi (jak np. w kwintecie fortepianowym, najgenjalniejszym jego utworze), iż wracamy z niej jakby odrodzeni, skąpani w tajemniczych falach eteru, ścierających z nas pył ziemski.

Schumann feljetonistą-krytyk uderza filozoficznem wyrobieniem umysłu, wiedzą, fantazyą, częstokroć chorobliwie zwichrzoną, nie ujętą w karby żadnej stałej reguły, ale zawsze szlachetną i jak muzyka jego w ideał piękna wpatrzoną.

Są temperamenty tak pełne energii i żywiołowej siły, że trudno im nakształt spokojnej rzeki, płynącej równem, stałem korytem, biedz po jednej, raz obranej wytycznej. Jak rwący strumień, który kilkoma ramionami toruje sobie ujście przez usypiska granitów, dążą one różnemi drogami do nieskończoności sławy pośmiertnej, by w sumie ostatecznych swych wysiłków dać światu syntezę pracy, zdumiewającej różnorodnością kierunków obok jednolitości napięcia.

Tak zdumiewali Michał Anioł, Leonardo da Vinci, Giotto, Brunelesco, wielcy mistrze Odrodzenia, architekci, rzezbiarze, malarze i częstokroć poeci zarazem; tak zdumiewał Wagner, potężny reformator muzyki, filozof, poeta, redaktor pisma antisemickiego, gorący rzecznik antiwiwisekcyi; tak zdumiewały całe szeregi potężnych umysłów, do rzędu których należał i Schumann.

Artykuły jego, mimo pozornej swej doryworczości, do dziś dnia mają wielką wartość, główną ich treść bowiem stanowi nie wyraz przygodnych sądów i opinii, lecz myśli ogólne, których czas nie zmienia.

Zebrane w trzytomową całość („Ueber Musik und Musiker, wydawnictwo Beclama"), literackie te prace nieśmiertelnego muzyka stanowią dla zagranicznych melomanów rodzaj nieoszacowanego, bogactwa wiedzy estetycznej.

Nasz muzykalny ogół, rozprawiający z kapłańskiem namaszczeniem o perlistej koloraturze i aksamitnym falsecie gwiazd operowych, nie zna książki tej wcale.

Większość najgorętszych wielbicieli i wielbicielek tęsknych „Marzeń," kapryśnych nowelet, lekkich „Motyli" Schumana nie ma zapewne najmniejszego pojęcia o literackiej jego działalności.

A jednak ona to, jak wiemy już, utorowała drogę sławy Szopenowi; ona nauczyła rozumieć fantastyczny i dziwaczny dla współczesnych talent marzyciela północy.

Wierzyć w potęgę rodzącego się nowego ducha wówczas, gdy świtu jego nie spostrzega jeszcze żadne oko, to jasnowidzenie geniuszu.

Takim był niewątpliwie Schumann, namiętny entuzyasta, krewki obrońca idei sprawiedliwości w osobie Florestana, miękki, słodki marzyciel w roli Euzebiusza, rozważny krytyk jako mistrz Raro.

Z zachwytem nad Szopenem spotykamy się w pracy: „Ueber Musik u. Musiker" jeszcze niejednokrotnie.

— Co znaczy zbiór całorocznych bodaj szpargałów gazety muzycznej w porównaniu z jednym koncertem Schumanna?— woła Florestan, dotchnięty do żywego wrogiemi krytykami pierwszorzędnych znawców ówczesnych.

— Precz z dziennikami! Najlepszą rozprawą o muzyce jest... milczenie. Po co pisać o Szopenie?.. Czemu nie czerpać z pierwszej ręki? Czemu samemu *tak* nie grać i *tak* nie tworzyć?

— Ten waryat Florestan gotów uważać podobne wykrzykniki za sprawozdanie! — odpowiada natychmiast łagodny Euzebiusz i marzycielską, obrazową swą gwarą oddaje już bardziej ścisły, bardziej rozważny na podstawach sumiennej krytyki oparty, hołd uwielbienia bratniej duszy.

C. Walewska.

Jedna ze spraw najpilniejszych.

Statystyka nauczyła Francyę, że jedna czwarta dzieci umierających w Paryżu zawdzięcza śmierć suchotom płucnym, i że ta śmiertelność wzrasta w zatrważającym postępie. Nauka podniosła alarm, a pobudzona przez nią filantropia prywatna zdobyła się na sanatoryum dla dzieci tuberkulicznych, albo zagrożonych suchotami z tytułu dziedziczności. Dwa sanatorya powstały jednocześnie prawie: jedno w Ormesson w roku 1896, drugie w Villiers nad Marną. Oba te zakłady odległe od siebie o 5 kilometrów drogi, leżą w bliskości Paryża w departamencie Sekwany i Oisy, a niedawno przyłączono do nich kolonie sanitarne znajdujące się w Noisy-le-Roi, Grand i Treuilly. O tem wszystkiem podawał „Tygodnik sprawozdanie dosyć szczegółowe przed niedawnym czasem, jak to sobie zapewne czytelnicy przypominają.

W związku z temi sanatoryami jest ufundowane w roku 1890 w Paryżu ambulatoryum porady bezpłatnej, dokąd zgłaszają się rodzice takich dzieci zagrożonych, i tam właśnie miewa miejsce rozpoznanie stanu choroby dziecka, zakwalifikowanie go do jednego z sanatoryów, albo odesłanie do domów ze wskazaniami właściwemi traktowania choroby. Odesłani otrzymują także lekarstwa darmo. Badanie chorych jest nadzwyczaj drobiazgowe, a oprócz auskultacyi i analizy naukowej, zastosowano jeszcze w tem ambulatoryum rozpoznawanie stanu płuc przy pomocy promieni Roentgena, które daje, jak zapewnia dr. Frank, najdokładniejszy obraz tego organu wraz ze wszystkiemi szczegółami jego anormalnej budowy, albo zarodkami przyszłego tuberkulicznego cierpienia. Tu się rozpoczyna formowanie akt przyszłego pacyenta Ormesson lub Villiers, i tam idzie wraz z nim w kopii rezultat tej dyagnozy, podczas gdy oryginał pozostaje na miejscu jako materyał do formującej się statystyki, a także na przypadek, gdyby dziecko powtórnie przyprowadzonem być miało do konsultacyi.

Smutny to bardzo przegląd tych przyprowadzanych codziennie dzieci, mówi sprawozdawca. Jedne noszą już na sobie wszystkie znamienne cechy wewnętrznego cierpienia, inne pozornie zdrowe, z rumieńcem na twarzy, ale że to wszystko prawie zrekrutowane jest z pomiędzy podejrzanych o chorobę, więc nie dziw, że na tym rumieńcu i na tym pozornie pomyślnym wyglądzie zewnętrznym nie ubezpieczają się lekarze. Jakoż okazuje się zwykle przy pierwszem zaraz badaniu, że dziecko takie to sierota po matce lub ojcu zmarłym na suchoty płucne, a jeśli nie sierota już dzisiaj, to w każdym razie przysłał je tu lekarz, pielęgnujący w tej chwili jedno z rodziców, w przekonaniu, że wolnem od smutnego dziedzictwa i ono być nie może. A zatem mamy przed sobą przyszłych skazańców i przyszłych męczenników — najnieszczęśliwszych pomiędzy wydziedziczonymi, i najgodniejszych zarazem starań i opieki ze strony społeczeństwa do którego należą.

Przyznać to musi każdy, kto zna przebieg i siłę niszczącą tej choroby nieubłaganej — każdy kto widział rozpacze tych wykluczonych, ich żal za życiem, i smutek niezapomniany wypiętnowany w spojrzeniu.

Słów kilka jeszcze o sanatoryach i doniosłości ich wpływu na zmniejszenie się w Paryżu śmiertelności wśród dzieci tuberkulicznych mamy tu do powiedzenia.

Szczegóły urządzenia zakładu pominiemy, tę tylko wzmiankę robiąc mimochodem, że leczenia w Ormesson ani w Villiers—nb. leczenia w tem rozumieniu jak ono jest pojmowanem powszechnie, niema prawie wcale. Dyeta, obfite i zdrowe pożywienie, dużo powietrza czystego, dużo starań i troskliwości, oto wszystko prawie, czem traktuje nauka początkującą tuberculosę. Szczęściem, nie wyrugowała gorliwość republikańska sióstr miłosierdzia z tych zakładów, i dzielne te kobiety pracują tam niezmordowanie, czem wedle opinii lekarzy samych, zyskują sobie prawo niezaprzeczone do połowy zasługi w tem dziele filantropijnem. Nie możemy jednakże zrozumieć, dlaczego dotąd same tylko dzieci płci męzkiej pielęgnowane są w obu sanatoryach; dziewczynki poddawane bywają badaniom w ambulatoryum paryzkiem, mają konsultacyę i lekarstwa bezpłatne, ale ich na pensyonat do żadnej z tych dwóch miejscowości administracya nie wysyła. To jest tem szczególniejsze, że niedostateczny rozwój fizyczny kobiety jest przecież powszechniejszym niż męzki, że fizyologicznej natury komplikacye robią go i na tę chorobę mniej jeszcze odpornym od męzkiego, i że wreszcie staty-

styka wykazuje większą ilość kobiet niż mężczyzn między umierającymi na suchoty.

Co do samego rozwoju instytucyi i stopniowego doskonalenia się metody, można powiedzieć, że cyfry wykazują rezultaty w wysokim stopniu zadawalniające. I tak w Villiers była w roku 1895 przeciętna cyfra uzdrowień dająca procent 13.6% na sto — w 1896 wzrósł stosunek do 21 na sto leczących się dzieci — w ostatnim roku sprawozdawczym 1897, mamy już 25 na sto uzdrowionych, co zdaje się stwierdzać samo przez się, że każdy rok przynosi udoskonalenia w badaniu choroby i pomnaża środki jej zwalczania. Ważną bardzo przewagę korzyści, a raczej szans uzdrowienia, wówczas, gdy cierpienie jest dopiero w samym zaczątku, daje nam porównawcze zestawienie uzdrowień w Villiers i w Ormesson. Wszystkie dzieci najmłodsze mieszczą się w tej miejscowości ostatniej, i tam też przeciętna cyfra tuberkulicznych wyleczonych wynosi stale 34%.

Jest to dużo i mało bardzo zarazem; dużo gdyż bądź co bądź świadczy to, jak dalece wcześniejsze zabranie się do leczenia suchot płucnych, zwiększa rękojmię opanowania tej choroby; mało, biorąc bezwzględnie, bo $^1/_3$ tylko ocalonych sama przez się mówi o zabójczej sile gruźlicznego procesu.

Od początku istnienia zakładów, traktowanych było w nich dzieci 6,999 — konsultacyi lekarskich odbyto 13,711—dni szpitalnych ma w księgach swoich zakład ogółem 245,398, a koszta tych ostatnich dają cyfrę 886,000 franków.

Tak się tedy rzecz przedstawia, gdy idzie o Francyę, i o francuzkie dziecko zagrożone chorobą suchot. Jak to wszystko stoi u nas, o tem niestety, czytelniczki szanowne, nic wam pewnego powiedzieć nie możemy. Nie mamy statystyki szczegółowej i wiarogodnej, nie obudziło się w nas dotąd zdecydowane poczucie konieczności wystąpienia czynnego do walki z tą hydrą, nie mamy przytem wielu, bardzo wielu innych rzeczy, ale czego nam nie brakuje z pewnością największą, to dzieci tuberkulicznych wogóle wszędzie, a w tej weseluchnej Warszawie naszej predewszystkiem. Nie trzeba być na to fachowym lekarzem i dyagnostą wybitnym, żeby módz wyczytać na wielu zwiędłych przedwcześnie twarzyczkach naszych małych mieszkańców suteryn i poddaszy miejskich, zapowiedzi rychłej zagłady; nie trzeba być specyalistą w gałęzi chorób piersiowych, żeby stworzyć sobie pojęcie o tej niezmiernej liczbie nieodwołalnie skazanych na śmierć przedwczesną między dziećmi zdradzającemi jeszcze wszelkie pozory zdrowia i siły. I tego co jawne i wyraźne — co się samo rzuca do oczu, i tego co przyczajone podstępnie w tych nierozwiniętych organizmach, czeka pierwszej sposobności, aby rozpostrzeć przyśpieszone zniszczenia swoje, aż nadto jest niestety dosyć na mękę tysięcy serc rodzicielskich, i na rozpacze wielu płomiennych dusz młodych, co niesyte czynu i walki życiowej z goryczą liczyć będą krótkie godziny, dzielące je od śmierci. Bądźmy przekonani, że mamy takich niedoli dzisiaj dokoła siebie o wiele więcej, niż nam podszeptuje nasz egoizm, i że dwa razy tyle wykluwa się obok nas ich zarodków w każdej godzinie naszego grzesznego zapomnienia, niżbyśmy sobie życzyli ze względu na szczerą chęć przygłuszenia naszego zaspanego sumienia.

No, ale rada — jakaż rada na to wszystko? zapyta niejeden.

Rada jest zawsze, odpowiemy, a nawet w danym wypadku jest ich kilka. Pierwsza z nich, ta mianowicie która zdrowemu, sytemu i dbałemu o dobro własne, albo obłąkanemu bez ratunku, pozwala spać na oba uszy, choćby się wszystko dokoła niego w przepaść toczyło—ta pierwsza będzie zawsze jedna i ta sama: „Niechaj Bóg radzi o swojej czeladzi" z tem nadmienieniem rozumie się „byleby sobie mnie za narzędzie swojej woli nie obierał" Przy tej sentencyi, powtarzanej z przewracaniem oczu i bez przewracania, można żyć spokojnie, trawić dobrze, a nawet dobić się wziętości między ludźmi, bo jakkolwiek istnieje taki sobie jeden artykuł prawa, który mówi o karze, i to nawet surowej dosyć, za pozostawienie bez ratunku człowieka zagrożonego utratą życia, za to żaden z artykułów następnych nie wspomina o pozostawieniu samym sobie dziesiątków tysięcy zagrożonych śmiercią niechybną, a do takich dziedziczni suchotnicy już z zarodkiem choroby w organizmie należą z wszelką pewnością. Bo widzicie czytelnicy, jednostka co innego, a setki tysięcy co innego. Za pozostawienie tedy dalsze tej sprawy naturalnemu jej biegowi, wiedzmy o tem, że nas nikt do odpowiedzialności nie pociągnie.

Gdyby jednakże znalazł się ktoś aż tak dalece skrupulatny, żeby chciał utrzymywać, iż skoro jednostka ma obowiązki względem jednostki, to o setki i tysiące troska należy do społeczności całej—gdyby się znalazł ktoś taki i ten jeszcze o radę w danym wypadku zapytywał, dla tego regestr cały środków niechybnych, mogących doprowadzić do celu podaćbyśmy gotowi. Ponieważ jednak na regestr miejsca nam w tej chwili nie starczy, więc o jednym tylko, o pierwszym z brzegu, jaki nam na myśl przychodzi, który prostotą i skutecznością swoją wszystkie inne zastąpić może słów kilka powiemy tutaj. Zacznijmyż:

Kto ma na widoku chorobę i walkę z nią, ten musi koniecznie myśleć o środkach obrony, a zatem o organizacyi lekarskiej i filantropijnej, o założeniu ambulatoryum w Warszawie, a budowaniu sanatoryum na prowincyi; sanatorya potrzebują funduszów, a fundusze...

No, tych ostatnich przynajmniej zabraknąć nam nie powinno na każde zapotrzebowanie takie, byleśmy raz nauczyli się szukać ich tam gdzie są do wydobycia w każdej chwili z łatwością, i zrozumieli w czem leży ta łatwość.

A więc nie czekajmy aż się wielka ofiarność poruszy, bo wielka ofiarność to jest sobie najprzód wielka pani, której z natury rzeczy nigdy pilno być nie może, a potem że to oglądanie się nasze na wielkie dary jest jednym z błędów zasadniczych w tej i każdej innej sprawie. Wreszcie nie jest podobnem do uwierzenia, aby nasza miłość własna na takiem oglądaniu się ciągłem wcale cierpieć nie miała.

Dajmy też pokój z drugiej strony, jak na teraz przynajmniej, marzeniom o darach kopiejkowych, składanych przez miliony ludzi w jednej godzinie na cel wielki, bo my milionów ludzi ofiarnych jeszcze nie mamy, i co do tego, złudzeń, w duchu panującej dzisiaj mody, wystrzegać się należy. Bardzo by to było pochlebnem dokonywać wielkich rzeczy przy pomocy kopiejkowych darów, ale my od tego dalecy bardzo jesteśmy, o tyle nawet dalsi, o ile sobie częściej powtarzamy, że jest przeciwnie To zresztą dobre jako sport, ale gdy idzie o sprawę doniosłości społecznej, wprowadzanie takich złudnych pozycyi plącze cały rachunek, a tu właśnie o rachunek chodzi nie o co innego, i o poznanie przy jego pośrednictwie do czego my też naprawdę zdolni jesteśmy.

Wykluczywszy tedy na chwilę wielki pieniądz, a wyrzekłszy się przytem złudzeń co do możliwości błyskawicznego gromadzenia pieniędzy przy pomocy datków minimalnych, składanych przez wielkie massy, stańmy jednakże na punkcie pośrednim, i nie wyrzekając się tych kopiejek bynajmniej, a owszem przyjąwszy je stale jako jednostkę, szukajmy ich w kieszeniach tych ludzi, którzy mogą dać, powinni dać, a właściwie mówiąc, którzy nie mogą nie dać, gdy się im powie kategorycznie o co chodzi, i wytłómaczy jak wiele na tem zależy. Ogromna jest liczba takich u nas—nie są to jeszcze miliony, ale są krocie w każdym razie, i gdy ich raz o zbawczej skuteczności takiej kopiejkowej ofiarności przekonać zdołamy, gdy im to wejdzie w życie, stanie się metodą, będziemy mogli uważać u nas za rozstrzygniętą sprawę szybkiego rozwoju instytucyj, o których zapoczątkowaniu marzyć nawet nie śmiemy dzisiaj.

I nie będzie już wtedy szło o tak zwane dary, o ofiarność, o rzekome wielkie czyny i faktyczne wielkie słowa, o uszczuplenie czegoś dla siebie — będzie natomiast chodziło o prosty nawyk czy nałóg wrzucenia codziennego pieniądza do puszki, nb. takiego pieniądza, który nam samym na nic potrzebnym nie jest.

Setki tysięcy rubli ma rocznie do zyskania społeczność na takiem przezwyciężeniu lenistwa, wtedy nawet, gdy pociągniemy do spełnienia tego dzieła takie tylko warstwy społeczne, z któremi o obowiązku publicznym rozmawiać można bez straty czasu daremnej.

A i o tem też nie zapominajmy, że zanim się ułatwimy ze sprawami tak niecierpiącemi zwłoki, jak ta, o której mowa, nawoływań wszelkich do zakładania ludowi teatrów i obmyślania sposobów zabawiania tego ludu, możemy nie słuchać z czystem zupełnie sumieniem.

A S.

Kwiat paproci.

(Nie-bajka).

Na świat przyszedł w noc Świętojańską, tę noc legend i baśni święconą symbolicznymi obrzędy niezrównanego uroku, a jak mówią i wielkiego znaczenia a wpływu tajemniczego na przeznaczenia ludzkie.

Czy dolę swoją przyniósł na świat ze sobą, czy mu od kołyski samej oświecał drogę życia jej czar mistyczny—niewiadomo, to pewna, że wplotła się ta noc w istnienie jego w sposób niepojęty, że niby nić złota wiła się wzdłuż tkanki życia, to niknąc, to ukazując się znowu, aż do godziny ostatniej — aż do ostatniego spojrzenia na tę ziemię rodzicielkę jego.

Innej bo też matki prócz niej nie miał przez życie. Tej bladolicej – tej jasnowłosej która mu matką była ze krwi i ciała, raz jeden padł wzrok na niego w oną uroczną noc Świętojańską, a i ten wzrok nie witał dziecięcia wchodzącego w świat łzą radosną, ale je żegnał smutkiem bezgranicznym na całą doczesną rozłąkę. W parę dni potem kryła już skąpa darń cmentarna ziemski szczątek tej, co dawszy życie dziecku, nic mu więcej z darów ducha swego udzielić nie mogła, a sierota pozostał aby spełnić, co w losach jego zapisanem było.

Nie rychło poznał on ojca. Domyślność sług starych odrazu odgadła, że ten ojciec patrzy na dziecko, jak na mimowolnego sprawcę rozdziału między nim a kobietą umiłowaną, i z przychylną przebiegłością usuwała chłopczynę z jego drogi. Rósł w cieniu jak mogilny kwiat, rozglądał się po świecie i po ludziach dwojgiem marzycielskich ocząt dziecinnych, które miały swój urok i swoje głębie, a posiadałyby może i ten sam blask serdeczny, co miały niegdyś matczyne, gdyby nie patrzyły przez mglisty całun sieroctwa na wszystko co było dokoła. A jak one dziwnie spoglądać umiały te oczy!

— Ej, sierotko ty biedny – mówiła doń nieraz wiejska karmicielka jego—ej, Janku maleńki, nie spoglądaj ty tak daleko przed siebie, bo to niedarmo powiadają starzy, że jak kto taki wpatrzony we świat cały, to świata nie zażyje, a śmierć sobie wypatrzy przed czasem.

A dziecko naprawdę tonęło wzrokiem w dal bez granic, i zdawało się, że rozumie tę żałosną skargę prostaczego kobiecego serca, które jedno tylko użalało się nad dolą sierocą i nad tajnią przeznaczeń dzieciny.

Dziwnym pociągiem, tak często objawiającym się u ludu naszego, umiłowała ta najemna kobieta wychowanka swego serdeczniej, niż pozostawione w chacie dziecko własne, i temu obcemu oddawała bezpodzielnie to, co miała do oddania ze skarbów duszy i instynktów macierzyństwa.

Nie widząc nigdy na twarzy dziecka uśmiechu, pytała każdą kobietę starszą o przyczynę, ale odpowiedzi były tak rozmaite, że jej w końcu zawsze w głowie własnej wyjaśnienia szukać było potrzeba.

— Że wy też nie rozumiecie tego, moja Józefowa—mówiła jedna taka znająca, że co sierota to sierota. Tego już wam nie odrobić, bo to tak z woli Bożej pozostać musi. Sierota jest, i mówić jeszcze nie może, więc się Panu Bogu skarży smutkiem, i tyle.

Józefowa ocierała oczy i odchodziła z dzieckiem, a przy modlitwie wieczornej prosiła Boga, aby zdjął smutek z twarzy dziecka, które nieszczęście, snać, ze sobą na świat przyniosło.

— Niebogatego zdrowia była matka — powiadała inna, to i dziecko wiele mocniejsze być od niej nie może. Nastęka się i nabieduje, i pójdzie za nią, a waszego tyle będzie, co nocy nie dośpicie i własne zaprzepaścicie jeszcze. Wola wasza — nie moja. Jużciż świeci się niby na was i na waszych za to, co prawda, ale czy to tak dobrze, to już wasze własne sumienie w tem — dodawała zazdrośnie, odchodząc.

— Młoda z was kobieta — mówiła stara znachorka wielce ceniona na okolicę całą — to i nie dziw, że się patrzycie a nie widzicie. Przecie to dosyć okiem rzucić, żeby poznać że to odmieniec...

— Bóg z wami, Andrzejowa, zkąd wam to do głowy przyszło? Jaki on odmieniec, kiedy on niema ani brata, ani siostry. Jeden był sierota na świecie i jeden ostał niebożę.

— Tak gadacie jak się znacie. Niby to odmieńcowi brata, albo siostry na to potrzeba, żeby był odmieńcem. Jeden jest odmieniec od swoich, a drugi od świata całego i takiemu każdemu dziesięć razy taka bieda, jak innemu. Widział to, kto żeby dziecko tak mądrze patrzało, jakby u niego nieprzymiemierzając stary rozum był w głowie.

Józefowa żegnała się krzyżem świętym.

— A poczekajcie no jeszcze — ciągnęła dalej stara.—Wiele to jemu będzie teraz?

— Akuratnie rok minął na ten święty Jan.

— Jakto na święty Jan?

— Ano, tak jak mówię. Przecie żeby mi sto lat przyszło żyć jeszcze, tobym nie zapomniała tej nocy i tej żałości okrutnej, jaka była dokoła biednej pani, i...

— Kiedy tak, to znowu co innego. Żebyście mi to byli, moja Józefowa powiedzieli odrazu, to jabym duchem była wiedziała zkąd bieda.

— Co wy, matko, chcecie powiedzieć?

— Co tu i mówić — tu sam rozum mówi. Urzeczony chudaczek przyszedł na świat, i tego nie zdejmie z niego nikt. To tak moi drodzy! Proścież wy, aby Boga, żeby się i was nie jęło to wszystko, bo to sprawa nie dobra... A chrzczonyż on aby?

— Coby nie miał być ochrzczony. Do tej pory.

— Bo to widzicie, różnie bywa, a że chrzczony, a jeszcze taki został jak był, to nie lepiej, tylko gorzej dla niego. Patrzysz się na mnie, kobieto, oczy wytrzeszczając, boś ty młoda i ani ci w głowie, co się tam w taką noc świętojańską nie dzieje na świecie — jakie to tam moce różne za bary się biorą ze sobą. Jużciż choćbyś to jedno wzięła sobie do głowy, że kiedy takie na to mówiący mizerne ziele, jak ta paproć chociażby, na jaką godzinę a zakwitnąć może, to jużci ta noc taka dobra jak każda inna być nie może Jak w spokojny czas przy księżycowem świetle, bez chmury na niebie, stuletnie dęby wywraca, jak złe wodzi grzesznego człowieka po borach, lasach i miejscach bezludnych, to jużciż głupiemu powiedzieć, że to sobie czysta sprawa jak każda inna. Tego nie trzeba mówić, bo taki rozum jak twój, to mały rozum na takie sprawy. Nie tacy jak ty, kobieto, bywali w taką noc na pokuszenie prowadzeni, i rozumem przypłacili to, co ich oczy w te czasy oglądały, a ty sobie w niwczem masz to wszystko.

— Każdy dzień i każda noc od Boga...

— A ja tobie mówię że nie każda. I ty żebyś była taka jak każda inna, tobyś także nie mędrkowała i nie zadawała głupstwa starej kobiecie, która ma więcej rozumu w palcu, jak ty w całej biednej głowie twojej. Widać że i ty już...

Rozstały się prawie że w gniewie jedna na drugą, ale w serce biednej karmicielki małego sieroty cierń wątpliwości zakradł się od tego dnia, i teraz jeszcze mniej cieszyły ją jak dawniej oczy jej wychowanka, i już ich przy ludziach jak dawniej nie nazywała mądremi. A że wraz z tem nie słabło w niej przywiązanie, więc nieraz siedząc zdala od oczu ludzkich tuliła do piersi sierotę i ze łzami, cichym szeptem mówiła do niego.

— Nie opuszczę ja ciebie, dziecko, choćby wszyscy ciebie opuścili, ale nie rodzić się to bie było w takie godziny, w których słabnie moc Boża nad światem; co tam na ciebie rzucili, tego ja biedna kobieta wiedzieć nie mogę, ale przecie na tyle dzieci, co ja widziałam, to naprawdę ani jednego podobnego tobie nie było.

Utwierdziło ją w tem trwożliwem przypuszczeniu pewne zdarzenie, wedle jej widzenia rzeczy, szczególne. Ojciec rzadko bardzo widywał dziecko swoje, a dziwiło ją to niezmiernie, bo ani to był twardego serca człowiek, ani o tej, która matką dziecięcia była nie zapomniał wcale. Gdzieżby tam miał zapomnieć! Toż dzień jeden nie minął, żeby na jej mogiłkę, zimą czy latem nie poszedł, a w niespełna półtora roku od jej śmierci, tak go żałość i tęsknota za nią pochyliły ku ziemi, że na niego ludzie bez uczucia litości spojrzeć nie mogli. I oto taki człowiek gdy raz uważniej spojrzał na malca siedzącego na rękach niańki, oblał się cały purpurą na twarzy, i chwyciwszy rękami za głowę wybiegł z pokoju, wołając strwożonym głosem:

— Ach, te oczy — te oczy jego!

Ani przypuszczała biedna kobieta, że te oczy spojrzały na biednego ojca w tej chwili tym samym wyrazem, który mu tamten zgasły na wieki wzrok ukochany przypomniał; ani jej na myśl przyszło, że to wiecznie krwawiąca rana serca wywołała ten wykrzyk na usta, ale przeciwnie zupełnie, utwierdziła się w przekonaniu, że to jakaś ich siła tajemna tak przeraziła go — że przed jej potęgą uchodził on teraz jak zawsze do samotni swojej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Z prasy.

Stosownie do treści ogłoszenia nadesłanego nam przez Redakcyę „Gazety Polskiej" mamy honor zawiadomić czytelników naszych, iż pismo to zaczyna ponownie wychodzić od dnia 1 Lipca 1898 r.

Podajemy tu jako *Curiosum* prawdziwe, tekst depeszy jednego z pism codziennych, pomieszczonej w rubryce t. zw. telegramów własnych. Treść depeszy dotyczy faktu powszechnie znanego, mianowicie załamania się trybuny nad brzegiem Tamizy wzniesionej, przy spuszczaniu na wodę świeżo zbudowanego statku wojennego. Publiczność angielska ma wielkie upodobanie w tego rodzaju widowiskach, czemu dziwić się nie należy, bo istotnie jest to interesujący dla fachowych i niefachowych, a prawdziwie majestatyczny widok, świadczący o doskonaleniu się techniki morskiej. Nie ze względu jednakże na tragiczność katastrofy, pomieszczamy tutaj donoszącą o niej depeszę; ona sama w sobie jest doskonale tragiczną albo komiczną w najwyższym stopniu, jak się czytelnicy przekonają sami. Oto próbka, która nas tak zadziwiła:

„Okazało się, że na zaimprowizowanej trybunie, która (?) padła ofiarą gwałtownego wezbrania wody podczas spuszczania w Tamizę krzyżowca „Albion" obecni byli wyłącznie *robotnicy*, tudzież *ubodzy* mieszkańcy dzielnicy Blackwell, sąsiadującej z warsztatami okrętowymi. *Jakkolwiek wyższe towarzystwo stolicy nie jest dotknięte katastrofą, przecież współczucie wszystkich warstw dla nieszczęśliwych ofiar jest głębokie i szczere.*"

Przypuszczamy, że istotnie depesza jest własną, przypuszczamy, że tak a nie inaczej mógł ją zredagować korespondent pisma, ale przecież tu na miejscu można było chyba pomyśleć, czy w tej formie kwalifikuje się ona do podania ludziom żyjącym na świecie w roku pańskim naszej ery 1898. Ważną jest rzeczą, że pismo należy do popularnych, że ludzie ubodzy czytają je u nas, i że należało do redakcyi jego pomyśleć przecież nad tem, co się za proces niepożądany rodzi w duszy człowieka biednego, czytającego, iż pomimo, że on nie jest możnym, jednakże do rodzaju ludzkiego się zalicza w każdym razie, i w pewnych wyjątkowych wypadkach np. jakichś massowych katastrof, których ofiarą się staje, może on nawet budzić współczucie.

To się niegodzi jednak odzywać w tym tonie.

Dobroczynność.

Członkowie delegaci Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności ukończyli już doroczne wizyty swoje po instytucyach dobroczynnych miasta. Stanowią je: ochrony, przytułki, sale zajęć, żłobki, szwalnie i inne rozmaitego typu i przeznaczenia dobroczynne zakłady. Ochron liczy Warszawa wraz z przedmieściami ogółem 33. Przy nich znajdują się 2 żłobki; jeden z nich dla 13-cioro dziatwy w wieku od lat 2 do 5, gdzie pensyonarze przebywają na miejscu od godziny 8 rano do 8 wieczorem — drugi dla 11 chłopców zupełnych sierot, którzy dostają na miejscu całe utrzymanie wraz z noclegiem i ubraniem. Szwalni Towarzystwo Dobroczynności ma 7 przeważnie dla dziewcząt od lat 15 do 16 wieku i tu znajduje naukę szycia, haftu, robót na drutach, siatkowych, włóczkowych i innych podobnych, ogółem 1,100 dziewcząt. Przytułków dla dziewcząt i dla chłopców jest 8. Sale zajęć praktycznych w liczbie 6 mieszczą się przy następujących ochronach: przy ochronie IV (Szara nr. 1) 46 chłopców doroślejszych uczy się naprawy obuwia, wyrobów sznurkowych, robót ze słomy i innych, a to wszystko pod kierunkiem wykwalifikowanych specyalistów— przy ochronie XVIII (Nizka nr. 61) zajmuje się praktyczną nauką szycia, naprawy bielizny i sztucznego cerowania, dziewcząt 30 — Sala przy ochronie nr. 6 (Bednarska 24) mieści 48 dziewcząt uczących się szczotkarstwa, wyplatania krzeseł, robót deskowych, szycia i haftu. Oprócz tego uczą je tam prać, prasować, wskazywane mają praktycznie, jak należy zajmować się porządkiem i utrzymywać czystość w mieszkaniach—jednem słowem wprawiają się we wszystko, co im w przyszłości jako służącym potrzebnem być może — W sali zajęć przy ochronie VIII (Krochmalna 22) uczą się chłopcy roboty sieci, hamaków, mat słomianych i kapeluszy. Ochrona XXIV (Koźla nr. 7) mieści salę zajęć, w której 70 dziewcząt pobiera naukę: haftu artystycznego, haftu dywanów na kanwie, kunsztownego łatania i cerowania. Nakoniec 6 sala zajęć założona przez ks. prałata Jana Siemca, o której otwarciu donosiliśmy we właściwym czasie czytelnikom „Tygodnika" mieści się w dwóch oddziałach przy ulicy Dobrej 57; uczęszcza tam 75 chłopców pobierających naukę robót praktycznych.

Stypendyum.

„Kuryer Codzienny" donosi, iż przed rejentem Staniszewskim spisanym został akt o utworzeniu stypendyum imienia Jana Pankiewicza. Akt ten obecnie zaakceptowanym został przez Okręg naukowy warszawski. Fundusz stypendyalny wynosi 3,000 rs. w listach likwidacyjnych Królestwa Polskiego i 390 rs. w gotowiźnie. Po ostatecznem zatwierdzeniu fundacyi przez ministeryum właściwe, nastąpi rozporządzenie procentami w myśl wskazań objętych aktem ofiarodawców.

Informacye.

Dyrektor szkoły realnej warszawskiej zawiadamia, iż egzaminy wstępne dla kandydatów nowych odbywać się będą w tym porządku: do klasy przygotowawczej, I i VI oraz do klas oddziału handlowego V i VI będą egzamina mieć miejsce od dnia 20 Sierpnia do dnia 4 Września—w klasach II, III, IV i V niema wcale miejsc wolnych. Prośby o przyjęcie do szkoły wraz z metryką, świadectwem szczepienej ospy, świadectwem o pochodzeniu i z fotografią, składać należy u dyrektora w gmachu szkolnym na Nowym Zjeździe od dnia 24 Czerwca do 13 Sierpnia, we Wtorki i w Piątki, w godzinach od 10 zrana do 2 po południu.

Jak słychać, w szkole średniej technicznej pp. Wawelberga i Rotwanda zostającej pod kierunkiem inżyniera Mittego, z Nowym Rokiem oprócz istniejącego dotąd wydziału mechanicznego, ma być także otwarty wydział budowlany, którego program został już przedstawiony do zatwierdzenia Ministeryum Oświaty.

Z miasta.

Wiadomo że budowle teatralne drewniane i murowane zwane „Eldorado," położone przy ulicy Długiej zostały rozebrane. Obecnie na placu po tych budowlach pozostałym wzniesiony będzie nowy teatr murowany, przy którym ma być urządzony teatr zimowy. Plan wykonał p. Rudakowski budowniczy warszawski, wzorując się, jak powiadają, na jednym z teatrów Antwerpskich. Cały ten gmach zbudowanym być ma z cegły, żelaza i szkła, a w lecie dzięki specyalnym urządzeniom zamieniać się on będzie na teatr letni. Do terytoryum teatralnego będzie urządzony dostęp z 3-ch stron, a mianowicie: jeden podjazd od ulicy Długiej, a jedno wejście od Miodowej przez posesyę pałacu Arcybiskupiego, przez tę mianowicie bramę, która prowadzi do biur komitetu cenzury. Wejście to otworzy się na podstawie istniejącej służebności, która obciąża gmach Arcybiskupi. Trzecie nakoniec wejście urządzone będzie od ulicy Danielewiczowskiej przez ogród hr. Branickiego. Budowa tego teatru ma być ukończona do 15 Listopada, a najpóźniej do 1 Grudnia roku bieżącego, a sam on zajętym będzie przez Towarzystwo teatru Małego.

Tyle co do budowli; o repertuarze, o rodzaju przedstawień na tej scenie nowej nic dotąd pewnego nie wiadomo.

Wskazówki i rady.

„Vol au vent" z groszkiem.

Prześliczne podanie groszku zielonego świeżego jest w następujący sposób: Zrobić z ciastą francuzkiego (patrz 365 obiadów rozdz. 4 wydanie 18) foremki jak do pasztecików, lecz troszkę większe. W Warszawie najlepiej obstalować je w cukierni, bo najtrudniej o piec do francuzkiego ciasta, a od tego właśnie dobroć jego zależy. Na 6 osób wziąść kwartę wyłuskanego groszku, wrzucić w rondel obszerny, zalać dużo wody, posolić i gotować na małym ogniu; gdy miękki odlać wodę, włożyć dużą łyżkę młodego i dobrego masła, potrząsnąć mocno rondlem, przykryć pokrywą, niech tak na ciepłem miejscu dochodzi. Wziąść małą kwaterkę słodkiej gęstej śmietanki, rozbić z odrobiną kartoflanej lub nawet najpiękniejszej pszennej mąki, pocukrzyć dobrze, wlać w groszek, zagotować parę razy i nałożyć pełno w otwory ciasta francuzkiego. Pilnować należy aby śmietanki nie było za dużo, a sos nie był gęsty; powinno go być niewiele. Bardzo eleganckie i w nowym rodzaju podanie; na więcej osób można zrobić ciasto tego fasonu jak do pasztetu, odrazu napełniając go wszystkiem groszkiem. W zimie używać groszku konserwowanego; ze suszonego nie można.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W. M. Kr. w Nałęcz. Jak tylko oznaczonym będzie termin jarmarku, doniesiemy niezwłocznie — toż samo o warunkach upakowania owoców nadsyłanych.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

TREŚĆ: Marya Rodziewiczówna: Kądziel (dalszy ciąg). — Dr. E. Tardieu: Psychologia chorego. (dokończenie) — C. Walewska: Kalejdoskop muzyczny. — Jedna ze spraw najpilniejszych. — Kwiat paproci. — Kronika. — Ogłoszenia. — Edmund Chojecki: Alkhadar, powieść z życia ojców naszych (dalszy ciąg).

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Piotr pobladł, zacisnął usta, konwulsyjnie zaczął gnieść chustkę w kieszeni. Magnat poznał, że za daleko się posunął; chciał tylko pokazać, jaką cenę przywiązuje do swego towaru, bynajmniej atoli nie pragnął ostatecznie dać uczuć, że niema go na sprzedaż. Zamyślił się na chwilę, jak gdyby marzył o przyszłości Maryi, poczem otrząsnął z dumań głowę, i ująwszy Poraja pod rękę, rzekł wesoło:

— Dziewczyna moja jest młodą, ma jeszcze przed sobą dość czasu do namysłu. Co do mnie, inne kłopoty ciężą mi teraz na myśli! Życzyłbym sobie w mojem gospodarstwie pozaprowadzać pewne zmiany, a do tego uważałbym się szczęśliwym, gdybym mógł twoich rad, panie Piotrze zasięgnąć.

— Pan hrabia zawsze mnie znajdziesz gotowym...

— Zwolna! zwolna! — przerwał żartobliwie Sokolnik — mogę pochwycić za słowo.

— Tem głośniej powtórzę zapewnienie.

— Skoro tak, chwytam bez ceremonii za słowo, i jeżeliś łaskaw panie Piotrze...

Sokolnik wyciągnął dłoń do Piotra, który nieomieszkał czemprędzej przybić obietnicy zdumiony, nieumiejący zdać sobie sprawy z tego co słyszał, ale z pośpiechem chwytający słaby promyk nadziei, z którego upragnione stryjostwo mogło mu kiedyś wybłysnąć.

Sokolnik wygrał partyę; niezaprzeczoną też miał wyższość nad przeciwnikiem. Strawiwszy życie w ciągłych potyczkach na słowa, zręcznie umiał używać tej broni, podczas gdy Poraj, mistrz, skoro przychodziło do czynu, nie potrafił sobie dać rady, ile razy musiał występować ze szczerej, prostej swojej natury, uciekać się do wybiegów i uderzać w jedne tony, aby drugich otrzymać odpowiedź.

Dygnitarz chciał rzucić mu w serce niepewność, wpoić myśl, że Marya nie mogła pójść za mąż, jak tylko za człowieka z wysokiego rodu, pomimoto jednak zaświecić gwiazdą nadziei, na którą Piotr poglądając, niczegoby nie oszczędził dla przyprowadzenia swych marzeń do skutku.

Tak nakręciwszy sprężyny, pomyślił, że wypadało gdzieindziej przenieść plac boju.

Pobyt w mieście do niczego nie doprowadzał; przeciwnie, bezustanku stawiał go w obec ludzi, których obecność przypominała mu zobowiązania jego i kłopoty. Postanowił więc czemprędzej wyjechać na wieś, nie dla tego, aby miał potrzebować spoczynku, nabierania świeżych sił; Sokolnik od zbytecznej pracy nigdy jeszcze nie cierpiał na wycieńczenie. Jedna komedya życia mogła go była nieco zmęczyć, ale larwa, jaką magnat nosił na twarzy wcale mu nie dokuczała; przyzwyczaił się do niej od młodości. Pragnął wyjechać, uważał bowiem, że zdaleka i na swoim gruncie łatwiej mu będzie kierować biegiem wypadków.

Kazimierz oczywiście był korzystniejszym zięciem od Fürstemberga, wszelako, i tamtego nie należało zrażać. Szambelan, z jednej strony, rozpłomieniał w młodszym Poraju gwałtowność uczuć, w starszym niepokój, pozyskaniu Maryi dodawał ceny, z drugiej zaś jako cudzoziemiec i potomek znakomitej rodziny, zdobił młodą dziewczynę niby bukiet z egzotycznych kwiatów do boku jej przypięty..

IV.

Pałacem zowie się w Polsce każdy dwór szlachecki o piętrze, mniej więcej biały, z dachem mniej więcej czerwonym.

Otóż więc taki to dom, poprzedzony obszernym dziedzińcem, opasany od tyłu ogrodem, wewnątrz połyskujący jeszcze śladami dawnej zamożności, rozbrzmiewał w tej chwili zgiełkliwymi śmiechy, okrzykami i wrzawą.

Pierwsze piętro było niezamieszkane, tam zwykle umieszczano gości; gospodarz dół tylko zajmował, pokoje jego atoli były zamknięte, nie było go w domu. Gwar pochodził od licznej służby strzelców, dojeżdżaczów, dżokejów, którzy wyzyskując pańską nieobecność, prześcigali się nawzajem w rozpowiadaniu przygód z rannego polowania, igrali z psami, nawoływali je gwizdaniem i trąbieniem, słowem niczego nie zaniedbywali coby wesołość a tem samem hałas mogło powiększyć. Widać jednak było po niedbale rzuconej na stół wykwintnej burce i zbytkownym angielskim harapniku, że samowładca tej czeredy niedaleko gdzieś musiał się znajdować, jeden bowiem z domowników, podrzędnego stopnia, często wyglądał oknem, wybiegał na próg, aby za danym znakiem, jedną część burzliwców przepłoszyć, drugiej milczenie zalecić.

Hrabiego Wilczka niema w pałacu. Chcąc się do niego dostać, musimy przebiegać cały ogród i dalej, nad brzegiem Dniestru, w stronę przeciwną zabudowaniom i chatom wiejskim, zbaczając tuż po nad rzeką, dopóki z pomiędzy topoli i gęstych krzewów nie błyśnie nam mały domek, zewsząd otoczony kwiatami, ze wschodami usypanemi żółtym piaskiem, niepozorny z wejrzenia, ale tem milej zadziwiający oko przychodnia pierwszy raz wewnątrz wkraczającego.

Nie była to przecie jedna z tych pasterskich lepianek XVIII-go wieku, gdzie fantazya panów, pod skromną strzechą, ukrywała najwymyślniejsze wykwinty rozpieszczonego zbytku. Wnętrze budowy odpowiadało zupełnie powierzchowności; całe urządzenie oddychało powagą i wdziękiem zarazem; można było rzec, że natura, jak to zwykle bywa, nie została za progiem, ale wewnątrz wtargnęła drzwiami, oknami, wszystkiemi niemal szczeliny i w harmonijnym spokoju ułożyła się do stroju z charakterem mieszkanki tego ustronia.

To przynajmniej wnieść można było o dwóch pierwszych izdebkach, gdzie zbytek ukrywał się pod nader prostą powierzchownością i zdradzał tylko w misternem wykończeniu, z jakiem błyskał z najmniejszych szczegółów, wchodzących do składu niewieściego mieszkania.

Na pierwszy pogląd, przychodzień ciekawy odgadnąć z pozoru istotę mieszkanki, wyraźnie byłby dostrzegł cechy właściwe kobietom, zamiłowanym w zakonnem lub w osamotnionem życiu, wystarczającym samym sobie, pędzącym wiek może w kontemplacyi duchowej, a może też i w bardziej ziemskiem zatopieniu się w jednej uczuciowej myśli.

Uchyliwszy zasłonę od trzeciej izdebki, drugi ten domysł ścinał się natychmiast w zupełne przekonanie.

Tu wyraźnie uderzał odmienny wpływ, w zasadzie nawet całkiem pierwszemu przeciwny. Był to pokoik, którego widok wywołałby uśmiech zadowolenia w najwięcej rozpieszczonej dziewczynie z wielkiego świata.

Gruby paryzki kobierzec zaścielał posadzkę; na okno z jednej szlifowanej szyby oprawnej w mahoń, spadały błękitne adamaszkowe firanki, podobnaż kotara zasłaniała drzwi i z tejże materyi obicie pokrywało ściany, sofę i kilka szerokich krzeseł, w których gość własnym ciężarem mile pokonywał lekki opór uginających się pod nim sprężyn.

Na suficie fałdy białego muślinu zbiegały się w jedno środkowe ognisko, z którego na trzech spiżowych łańcuchach zwieszała się alabastrowa lampa na wzór tych kształtów, jakie Rzymianie przyjęli byli niegdyś od artystycznych Etrusków.

Dwa weneckie zwierciadła wprawione naprzeciw siebie w ściany, i w głębi kominek z białego marmuru stanowiły resztę ozdób tego schronienia. Obraz ożywię, gdy powiem, że pokoik nie był próżny; znajdowały się w nim dwie osoby.

Pierwszą była młoda dziewczyna.

Z jedną nóżką podwiniętą, a drugą wyprostowaną, z głową wspartą na dłoni, spoczywała na sofie; drugiem ramieniem obejmowała szyję wyciągniętego u nóg jej na kobiercu młodego mężczyzny, w którym czytelnik pozna je oddawna przedstawionego mu Władysława Wilczka.

Oboje milczeli.

Wilczek topił wzrok w przestrzeń i ścigał błędne myśli w obłokowych zarysach przed nim przepływające; dziewczyna utkwiła oczy w tej głowie, którą tuliła do łona, i z wzrokiem zaprzepaściła umysł w owem rozkołysanem marzeniu, jakie ogarnia kobietę, gdy oddawna doznawane i niewysłowione wrażenia szczęścia i rozkoszy niże pamięcią w jedną równiankę, i wieńczy nią ukochane skronie sprawcy tych chwil przelotnych.

Śród zbytku, jaki ich otaczał do koła, dziwnie odbijał strój wieśniaczy dziewczęcia.

Wprawdzie strój ten krojem tylko przypominał ubiór ludu, żadna bowiem z najbogatszych wieśniaczek, nigdy nie zamarzyła nawet o takiej batystowej koszulce spiętej pod szyją guzikiem z drogich kamieni, ani o jedwabnym gorsecie ściągniętym sutymi hafta-

mi; żadnej przez myśl nie przeszło, aby chłopka mogła mieć spódniczkę z cieńkiego muślinu dzierganą w różne wzory, spadającą na przejrzystą pończoszkę, zakończoną atłasowym trzewikiem.

I nie mogło być inaczej, któraż z nich bowiem byłaby mogła wysunąć obłocznym rękawkiem, sfałdowanym wstążką nad zgięciem dłoni, tak małą, białą rączką, jaką miała Nastusia—któréjże stopa godną była obuwia, jakie więziło drobną nóżkę Nastusi, rozmiarem przypominającą dziecinne jej lata?

Chcąc zrozumieć stanowisko tego dziewczęcia, cofnąć nam się wypadnie w przeszłość.

Pani Starościna Mirska, wydała jedynaczkę córkę za Augusta hrabiego Wilczka. Małżeństwo ze wszech względów dobrane, zaspakajało wymogi światowe. August Wilczek był człowiek bogaty—w znaczeniu, ze znakomitem nazwiskiem; nie wypadało zrażać go rekuzą. Panna Starościanka mało go wprawdzie znała, ale dla niej wola matki nosiła na sobie piętno starożytnego fatum; poszła więc do ołtarza z tą samą uległością, z jaką byłaby wstąpiła do zakonu lub została starą panną, gdyby który z tych ostatnich dwóch stanów, zgadzał się był z wolą Starościny.

Po odprawionym obrzędzie, matka pocałowała córkę w czoło, przeżegnała ją trzykroć znakiem krzyża świętego; tegoż samego wieczora wyprawiła suty bal w pałacu, i nazajutrz młoda małżonka, opatrzona jeszcze jednym pocałunkiem i jednym jeszcze znakiem krzyża, wyjechała wraz z mężem na nowe gospodarstwo.

Kontrakt ślubny, dzięki biegłości regenta, zapewniał nowożeńcom wszelką niezawisłość majątkową; interesa z obu stron były czyste, zapomniano tylko przy końcu dołożyć warunku o zobopólnem szczęściu.

Opuszczenie to niebawem wydało zgubne owoce.

Hrabia, którego życiu obywatelskiemu nic nie podobna było zarzucić, miał wszelako jedną wadę, bynajmniej nie przyczyniającą się do spokoju domowego. Czasami, prawdę mówiąc, często nawet, krew zbyt niespodzianie uderzała mu do głowy. Wtedy, zupełnie się zapominał, oczy zachodziły mu czerwienią, rozum w mgnieniu oka ulatywał gdzieś w niedościgłość, ręce konwulsyjnie chwytały pierwszy lepszy przedmiot żywy lub martwy, i po chwili potrzaskane sprzęty lub ponadwerężane członki, świadczyły, że hrabia tylko co był uległ jednemu ze zwykłych napadów swoich.

Domownicy drżeli przed nim, dzieci wiejskie, ile razy na koniu przez wieś przelatywał, z krzykiem do chat uciekały.

Powszechna ta trwoga wcale nie uśmierzała zapędów porywczego magnata; przeciwnie, jeżeli każde wykroczenie budziło w nim niepohamowany gniew, natomiast, na widok nikczemnego przestrachu, jakim za zbliżeniem się jego ludzie truchleli, tracił ostatnie iskry człowieczej natury, srożał jak rozszalałe zwierzę, pastwił się już nie nad przestępcą, ale nad pełzającą mu u nóg słabością.

Podobne sceny często powtarzały się w domu. Miodowy miesiąc małżeńskiego pożycia przerwał je był na chwilę, wkrótce atoli hrabia wrócił do dawnych zwyczajów.

Z początku, żona, niewyczerpaną słodyczą, łagodnością, uśmierzała wybuchy męża. Ofiary zapalczywości hrabiego często uciekały się do niej pod opiekę; wtedy cały dzień, samotnie, zamykał się w swoim pokoju.

Pewnego razu, gdy pierś nie mogła już wystarczyć na objęcie oddawna tłumionych namiętności, hrabia August zapomniał, że ta kobieta, która ze łzami, na klęczkach błagała go dla niego samego o litość, była jego żoną.

Piewszy krok postanowił o dalszem postępowaniu hrabiego; główna tama była rozerwaną, wściekłość jego buchnęła szerokim, płomienistym strumieniem, którego pierwsze ognie spadły na nieszczęśliwą żonę.

Hrabina przez jakiś czas cierpliwie znosiła mężowskie wybuchy, gorąco modliła się o przywrócenie domowego spokoju; błagania jej były daremne.

Hrabia znał swoją słabość, sam za nią co raz bardziej się znienawidzał i zemstę za własne przekroczenia coraz dotkliwiej na otaczających go wywierał. Domowy lekarz, główną przyczynę nieszczęsnych usposobień przypisywał hepatycznym cierpieniom hrabiego.

W istocie, choroba musiała gwałtownie się wzmagać, paroksyzmy coraz częściej przypadały na pacyenta, nie podobna było dłużej wytrzymać; hrabina wyczerpywała ostatnie siły.

Pewnego dnia, gdy mąż swoim zwyczajem, napełniwszy dom przestrachem, zamknął się u siebie i następnie wieczorem konno pogonił w pole, biedna żona znosząc się od łez, przy pomocy wiernej garderobianej, przemknęła się ukradkiem do pierwszej stacyi pocztowej.

Nazajutrz z powszechnem zadziwieniem całego domu Starościny, wygnanka padła u nóg matki.

Pani Starościna pocałowała córkę w czoło, przeżegnała ją znakiem krzyża świętego, wysłuchała poważnie zażaleń, uznała je słusznemi i stanowczo oświadczyła, że odtąd nie puści jej od siebie i o zgodzie z zięciem na wieki słyszeć nie zechce.

Wieczorem, wszystko wróciło do tegoż porządku, jaki panował w domu Starościny przed zamężciem jej córki. O mężu więcej nie wspominano, uważano związek ten jako zły sen męczący, biedna tylko hrabina trawiła dni we łzach i w smutku.

Odtąd nikt na bladem jej obliczu nie dostrzegł uśmiechu; poranki zwykle przeklęczała w kościele, resztę dnia w milczeniu pędziła obok matki.

Hrabia August ze swojej strony nie dawał o sobie żadnej wiadomości, bądź, że po szczerej z własnem sumieniem rozmowie, w ucieczce żony uznał sprawiedliwy wypadek, bądź też, że w rozbujałej dumie serca nie chciał pokazać, że dba o kogokolwiek na świecie. Zdaleka dochodziły tylko posłuchy, że nie widywał nikogo, że z nikim nie wchodził w rozmowy, że dnie samotny przepędzał na polowaniach, tak przynajmniej ludzie mniemali, chociaż pomimo późnej zwykle pory powrotu, często nie przywoził z sobą żadnej zwierzyny.

Tymczasem w pałacu Starościny zaszła zmiana.

W kilka miesięcy po ucieczce od męża, hrabina powiła syna.

Był to pierwszy dzień radości, jaki po długich smutkach zajaśniał dla nieszczęśliwej matki.

Zdawało się, że wypadek ten odemknął w Starościnie od tylu lat zasklepione serce. Powitała wnuczka z niewypowiedzianym uczuciem szczęścia, ponieważ zaś córkę przyzwyczaiła się była uważać dziecko, sama przeto postanowiła wyłącznie zająć się jego wychowaniem.

Hrabina nawykła do ślepej uległości, nie śmiała opierać się życzeniom matki; dla niej dość było szczęścia, że mogła czasami popieścić się z lubem dziecięciem; noce przesiadywała przy jego kolebce, wpatrując się w różaną uśpioną twarzyczkę, we dnie bowiem, Starościna, jak gdyby zazdroszcząc pieszczot, z jakiemi dziecię pędzone tajemnem uczuciem, raczej do matki, niżeli do babki się przymilało, na chwilę wnuczka nie spuszczała z oczu.

Hrabina chciała sama karmić swego Władysia, lekarze atoli, bacząc na osłabiony stan jej zdrowia, wzbronili spełnienia pierwszego i najdroższego macierzyńskiego obowiązku.

Tkliwa matka nie byłaby zważała na zagrożenia lekarzy, ale tu Starościna położyła swoje nieubłagane *veto*; trzeba było poddać się jej woli i obcym rękom powierzyć pierwsze starania o dziecięciu.

Pani domu przykazała rządcy, aby czemprędzej, pomiędzy wiejskiemi kobietami wyszukał mamki.

Pan rządca, czyli tak zwany Komisarz, spiesznie wziął się do dzieła. Starościna posiadała ogromne włości; nie trudno mu było wypełnić jej rozkazy.

Obejrzawszy kilkanaście kobiet mogących ubiegać się o zaszczyt karmienia panicza, rzucił wzrok na młodą wieśniaczkę, która powierzchownością i dziwnym wdziękiem, rozlanym po całej postaci, jaśniała śród rówiennic.

Pan rządca nie zastanawiał się długo; naznaczył swój wybór i oświadczył Krystynie, że natychmiast odwiozą ją do dworu. Odprawione z kwitkiem wieśniaczki pozazdrościły może szczęśliwej świetnego losu, na twarzy jednak Krystyny przebijało inne uczucie niż radość.

Młoda matka stała spokojnie ze spuszczonemi oczyma, podczas, gdy pan Komisarz wydawał jej rozkazy; ugięły się wreszcie pod nią nogi, padła na kolana i zalała się rzewnemi łzami. Przerywanemi słowy jęła rozpowiadać, że nie czuje w sobie dość zdrowia, że sama ma jedyne dziecię, którego za żadne w świecie skarby nie porzuci, że raczej utopi się, przepadnie, zaginie aniżeliby miała byle komu zostawić maleńką swoją Nastusię.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Marszałkowska 101. * ZEGARKI. • W. RUDNICKI • BIŻUTERYA. * Marszałkowska 101.

697—25—22

Lodownie pokojowe, Kuchenki naftowe i inne, Łóżka, Wanny, Wagi, Naczynia kuchenne.

J. Zabokrzecki i S-ka

Senatorska №. 12

891—6—4 (obok Ratusza).

MAGAZYN MÓD

i Pracownia Kwiatów Sztucznych

podług modeli Paryzkich 902—24—2

A. OJRZANOWSKIEJ

w Warszawie, Rymarska Nr. 2.

Poleca na każden sezon kwiaty, girlandy ślubne oraz wielki wybór kapeluszy gotowych. Przyjmuje wszelkie obstalunki. Ceny umiarkowane.

ZAKŁD GALWANICZNY

JANA ZABOKLICKIEGO

b. Galwanizera firmy „Iflanda i p. Filipskiego"

Senatorska 18,

(dom pp. Kanoniczek).

Przyjmuje złocenie, srebrzenie, niklowanie i oksydowanie wszelkich metali.

894—25—2

KAKAO, CZEKOLADĘ, CUKRY DESEROWE, CZEKOLADKI

poleca

883-25-6

W. TRUSZKOWSKI

FABRYKA Krak.-Przed. 17

Dla Pań malujących

Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład

T. CZARNOCKIEGO

101, Marszałkowska 101,

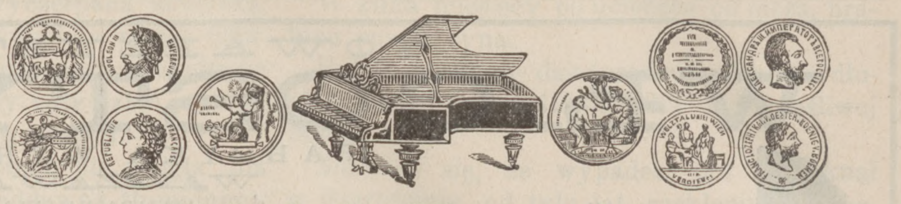
w WARSZAWIE. 812-50-20

ZAKŁAD TAPICERSKI

A. TELATYCKIEGO,

Hoża № 20, 816—25—11

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres specyalności.



MAŁECKI

Fabryka Fortepianów i Pianin

Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach wszechświatowych 864—50—10

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

PATENTOWANY SZYNDLERA

Biusthalter.



Znany we wszystkich państwach Europy i Ameryki wynalazek, nadający każdej figurze estetyczne kształty, zdobył uznanie i listy dziękczynne wszystkich, korzystających z niego pań. **Biusthalter, daje w ciągu całego dnia zupełną swobodę ruchów i dla tego też poleca się WSZYSTKIM, bez wyjątku paniom: pracującym w biurach, szkołach, handlach, gospodyniom przy domowych zajęciach, podróżującym, uprawiającym sport, jak również paniom, znajdującym się w odmiennym stanie, karmiącym piersią, a nawet cierpiącym.** Biusthalter opatentowany w 13 państwach, odznacza się eleganckiem wykonaniem z najlepszych materyałów używanych na gorsety.

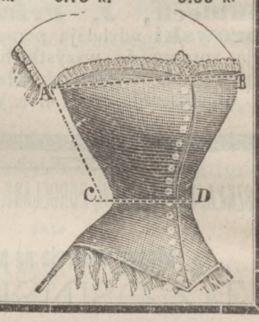
CENY	AA	A	B	C	DD (jedw.)
	3.50 k.	4.50 k.	5.75 k.	6.75 k.	9.50 k.

Obstalunki detaliczne wysyłają się pocztą wszędzie za zaliczeniem z dopłatą za przesyłkę za 2 funty.

Przy obstalunkach, uprasza się przysyłać miarę w centymetrach, werszkach, albo na tasiemce według rysunku:

1) **Pełny** obwód, mierząc pod pachą (wraz z plecami), od A do B. 2) **Pełny** obwód stanu od C do D i 3) wysokość boku od A do C.

775—12—8



Wyłączna sprzedaż na Cesarstwo i Królestwo Polskie

w Warszawie, Senatorska 26.

Adres dla listów: Warszawa „SZYNDLERA BIUSTHALTER".

Używajcie wszyscy Kakao Fruzińskiego.

Kakao Fruzińskiego uznane przez licznych odbiorców za najlepsze w smaku, oraz analizowane przez powagi lekarskie. Nie ustępuje w niczem najlepszym markom zagranicznym, a o połowę tańsze.

897—8—3

Parowa Fabryka Kakao, Czekolady i Cukrów Deserowych

J. Fruzińskiego

Warszawa, Marszałkowska 133. Filia Senatorska 6.

oraz we wszystkich pierwszorzędnych handlach w Warszawie i na prowincyi.



Skóry z Dzików, Lisów, Jeleni, Żubrów i t. d na futra i na dywany wyprawia miękko, czysto i trwale zabezpieczając je od moli

ZAKŁAD

Konstantego Lewandowskiego

w Warszawie, ul. Obożna № 4.

Wyprawia także skóry z Łabędzi, Kaczek i Gęsi. Odczyszcza wszelkie skóry, doprowadzając je do pierwszej czystości i miękkości 871—15—3

NOWO OTWORZONY SKŁAD

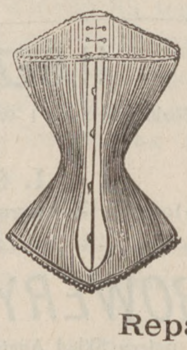
MATERYAŁÓW APTECZNYCH I FARB.

prowizora farmacyi

BERNARDA HEIMANA

Warszawa, ulica Nowo-Senatorska 8 (obok Placu Teatralnego)

Poleca wszelkie artykuły w zakres specyalności wchodzące po cenach nizkich w wyborowych gatunkach. 876—12—8



Nowa Pracownia Gorsetów

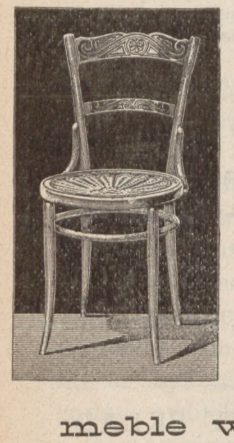
„CAROLINE"

w Warszawie, ul. Chmielna №. 11,

poleca: różnorodne gorsety, od skromnych do najwykwintniejszych, gorsety sznureczkowe, na włosiu, staniczki, półgorsecki, leniuszki, gorsety do konnej jazdy, szeleczki do prostego trzymania i t. p.

Fasony zgrabne, wykonanie staranne. Wysyłka za zaliczeniem pocztowem, a przy listownych zamówieniach należy podać całą objętość w talii, w gorsie i długość boczku od talii do podramienia.

Reparacya i pranie gorsetów. 770—8—8



Najwyżej zatwierdzone Akcyjne Towarzystwo

fabryki mebli wiedeńskich

Jakóba i Józefa Kohn

WARSZAWA,

Pl. Teatralny Nr. 11, róg Senatorskiej.

poleca:

meble wiedeńskie od najprostszych do najwykwintniejszych.

909—2—1

Garnitury salonowe.

Wybór najbogatszy. — Ceny przystępne.

GAMASTON

Wiara ❋

Nadzieja ❋

Miłość ❋

Nowelle, z illustracyami

A. Kamieńskiego i S. Sawiczewskiego.

Rs. 1 kop. 50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Administracyi

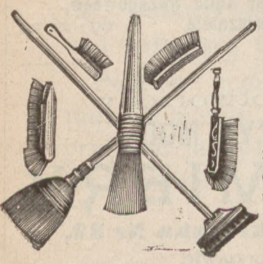
„Tygodnika Mód i Powieści."

MAGAZYN

Obuwia Damskiego i Dziecinnego

W. Bałutowskiej

ul. Niecała № 10, w Warszawie. 910—25—1



FABRYKA SZCZOTEK I PĘDZLI

ALEKSANDRA FEIST

w Warszawie, Senatorska 24,

zwraca uwagę na dogodny sposób przesyłania towaru przez zalicżenie pocztowe lub kolejowe. Najmniejsza ilość towarów dla użytku domowego, toaletowego lub zakładów fabrycznych przesłaną być może. 844-12-7

Fabryka konkurujc nie ceną lecz dobrocią towaru.